

potakującymi ruchami głowy. W końcu młodszy maur zwrócił się do Elizy, zrobił szeroki gest ręką, jakby chciał dać jej poznać, iż całe mieszkanie oddaje do jej rozporządzenia, przemówił kilka słów po arabsku, z których oczywiście nie zrozumiał ani sylaby i naciągawszy kaptur na głowę, oddalił się z towarzyszem. Eliza również pośpieszyła w stronę wyjścia, lecz niewolnik zastąpił jej drogę, dając do zrozumienia, iż ma rozkaz nie wypuszczania jej a równocześnie młoda maurytanka ujęła ją łagodnie za rękę. Panna Dexter widząc niemożliwość jakiegokolwiek oporu, odwróciła się do niej i zasypała ją gradem pytań po angielsku i po francusku, otrzymując w zamian smutny uśmiech i przeczące poruszenie głowy. Uśmiech ten uspokoił Elizę cokolwiek, dowodził on, że jakkolwiek z jednej strony byłoby dzieciństwem, liczyć na przychylnie uczucia nowej swej dozorczyńi — z drugiej mogła się spodziewać, iż niema w niej zdecydowanej nieprzyjaciółki, poszła więc za nią posłusznie do przyległego pokoju. Była to izba wązka i długa, w dwóch bocznych krótkich ścianach znajdowały się drzwi, w środkowej okratowane okno, a za całe umeblowanie służył mały stół pośrodku i materac pod ścianą na ziemi. Maurytanka na migi dała jej do zrozumienia, że powinna położyć się na materacu i starać się usnąć. Z rozpaczliwym westchnieniem poszła Eliza za jej wezwaniem i rzuciła się na materac, bo i cóż innego mogła uczynić? Trzeba czekać, aż wypadki same rozplączą całą tę gmatwaninę nieporozumień i pomyłek. Przecież w końcu musi się wyjaśnić, iż kupiła pierścień przypadkiem i bez żadnej złej myśli, a gdy raz fakt ten zostanie ustalony, muszą jej powrócić wolność. Ale w tej chwili nie o sobie tylko myślała. „Co się stało z Borroughs'em? — nasuwało jej się natarczywe pytanie... I pierwszy raz zrozumiała, że młody malarz nie był jej tak obojętny, jak jej się do niedawna jeszcze zdawało.

ROZDZIAŁ V.

W tej właśnie chwili, kiedy chłopiec ścigany przez araba przebiegał koło Borroughs'a, zbliżył się do niego francuz ze szklanem okiem.

— Zmyliliście państwo drogę — zagadnął uprzejmie i wyjąwszy równocześnie z kieszeni jakąś starą kopertę, na odwrotnej jej stronie zrobił kilka pociągnięć ołówkiem. — Proszę spojrzeć, należało iść tak, następnie skrócić tędy — ciągnął dalej.

Młody człowiek nachylił się, aby się uważniej przyjrzeć rysunkowi, gdy nagle jakaś silna ręka uchwyciła go za gardło, a równocześnie zarzucono mu na twarz turban, który stłumił zupełnie okrzyk przerażenia i zgrozy jaki mu się wydarł. Następnie olbrzymi murzyn pochwycił go za ramiona, a francuz ujął za nogi i tak z błyskawiczną szybkością, przeniesiono go przez ślepa uliczkę u wylotu której stał. Cała ta scena rozegrała się w mgnieniu oka, a hałas jaki mógł powstać zagłuszył krzyki chłopca. Wprawdzie Borroughs usiłował się bronić, ale ręka trzymająca go za gardło, posiadała niezwykle siłę i cisnęła tak mocno, iż chwilowo utracił przytomność, a tymczasem napastnicy wnieśli go przez drzwiczki znajdujące się w głębi uliczki i zamknęli je za sobą. Na ulicy uspokoiło się zupełnie, krzyki chłopca umilkły, a malarz, który znów stał na nogach, zerwał turban zasłaniający mu oczy. W mroku dojrzał, iż znajduje się w wąskim przejściu i że jest w mocy trzech mężczyzn. Podedrzwiłami z zewnętrznej strony dały się słyszeć kroki, Borroughs słyszał jak Eliza szamotała drzwiami i usiłowała dać znać o swej obecności, ale jednocześnie murzyn uchwycił go z taką siłą za gardło, że jego krzyk zamienił się w niesłyszalne gulgotanie. Kroki na zewnątrz oddaliły się i uścisk ręki na jego szyi zwolnił; wpełnił go do małej słabo oświetlonej izdebki, gdzie go związano, zakneblowano mu usta i twarz owiązano turbanem tak mocno iż o mało się nie udusił.

— Przedziej, przedziej! — wołał po francusku jeden z łotrów — kobieta mogłaby niespodziewanie znaleźć pomoc, musimy go więc jaknajprędzej ulokować w miejscu, gdzie nam nikt nie przeszkodzi.

— Mówiłem ci że lepiej będzie jeżeli pochwycimy oboje — odrzekł drugi.

— Na razie wystarczy jedno — ozwał się pierwszy mężczyzna, w którym Borroughs po głosie poznał człowieka o szklanem oku — sądzę, że i z niego wydobędziemy wszystko, co potrzebujemy wiedzieć.

Dwóch mężczyzn ujęło malarza pod ramiona, trzeci podpierał go z tyłu i tak wciągano go po schodach, aż powiew świeżego powie-

trza, jaki poczuł na rękę, kazał mu się domyślić, że jest na dachu. Teraz dopiero rozpoczęła się na dobre ucieczka, podczas której mało okazywano względów więźniowi. Przesuwano go z jednego dachu na drugi, przerzucano przez sztachetki i parapety rozdzielające dachy, aż ostatecznie sprowadzono na dół po schodach, przeszli jeszcze przez jeden czy dwa pokoje, usunięto turban zasłaniający mu twarz i oczy i nakoniec Borroughs ujrzał swoich napastników. Jeden, którego już znał, miał szpakowate włosy i szklane oko, drugi był mały, krępy, z rzadkim czarnym zarostem, a trzeci to murzyn olbrzymi, ślady palców którego widoczne jeszcze były na szyi amerykańczyka. Wnosząc z grubych jak postronki mięśni, prężących się na jego obnażonych ramionach, posiadać on musiał niezwykle siłę fizyczną. Pokój w którym się obecnie znajdowali, umeblowany był skromnie i widocznie zamieszkały przez europejczyków; pod ścianą stało żelazne łóżko, na środku pokoju długi stół, na którym obok stosów francuskich dzienników, mieściły się pudełko z tytoniem i bibułka do papierosów, talia kart i lampa naftowa. Dwoje drzwi zasłaniały opony, a w powietrzu unosił się zapach dymu tytoniowego.

Na znak dany przez swego pana, murzyn posadził Borroughs'a na krześle i wyszedł z pokoju. Gdy malarz pozostał sam z europejczykami, ci zdjęli mu węży krępujące ręce a starszy francuz skierował równocześnie w jego stronę lufę rewolweru, następnie zajęli miejsca naprzeciw niego za stołem, nie wypuszczając z ręki wymierzonego w jego głowę rewolweru. Skoro tylko Borroughs zdołał zaczerpnąć świeżego powietrza w płuca, wybuchnął.

— Do kroćset djabłów, cóż to wszystko ma znaczyć?!

— Krzyk i hałas na nic się nie przydadzą — powiedział szpakowaty francuz — niema tu nikogo w pobliżu, kto by mógł pospieszyć z pomocą, a choćby i był, nim się zdąży zjawić, zastrzelę pana.

Amerikanin popatrzał mu w oczy z chłodnym spokojem; uważał całe to zajście za napad bandycki w celu rabunku i przemyślał nad sposobem ukrycia przynajmniej części posiadanych przy sobie pieniędzy.

— Jesteś pan całkowicie w naszej mocy — ciągnął dalej francuz — a im prędzej dojdziemy do porozumienia, tem lepiej. Krótko mówiąc żądam pierścienia, który pan ma na środkowym palcu lewej ręki.

— Pierścionek ten niema wielkiej wartości — odparł malarz, postanawiając bronić własności Elizy. — W kieszeni mam dziesięć sztuk złota i zegarek również złoty, proponuję więc, abyście zabrali to wszystko, a wzamian pozostawili mi pierścień. Ma on dla mnie wartość z innych względów, nieprzedstawiających dla panów żadnego interesu.

— Pierścień ten nie przedstawia dla mnie interesu? — krzyknął czerwony jak piwonja mężczyzna, a jego towarzysz popatrzył na malarza zdumionym wzrokiem.

— Masz pan nas za głupców chyba — wtrącił — znamy doskonale wartość pierścienia i dobrze rozumiemy dlaczego pan chce go zatrzymać. (D. c. n.)

O TEATRZE.

Intermedja polskie.

Jak wiadomo, teatr ludowy w Polsce ściśle związany był z uroczystościami kościelnymi. Były to przedstawienia poważne, misterja o Bożem Narodzeniu, dewocje postne i procesja Niedzieli Kwietnej z osiołkiem, misterja i cykle wielkanocne, misterja z życia świętych itd. Ażeby te przedstawienia urozmaicić, a przez kontrast śmiesznego z poważnym jeszcze bardziej ześrodkować uwagę widzów na uroczystą treść, dodawano do nich wesołe sceny. Sceny te wesołe oddzieliły się z czasem od misterjów, dramatów, stały się samodzielne i przybrały w XVI wieku ustalony charakter intermedjów, a w rzeczywistości są one dalszym ciągiem owej starożytnej mimy, która zdołała utrzymać się po przez średnie wieki jako istotna forma teatralna humoru ludowego. To też w samych początkach np. w „Sądzie Parysa“ z 1542 r. posiadają one ów zasadniczy charakter mimusa, a więc taniec ze śpiewami i rodzaj cyrkowego przedstawienia szermierzy.

Werwę komiczną — wedle Windakiewicza — uzyskuje intermedjum polskie pod wpływem

włoskim i ogólnego podniesienia się cywilizacyjnego za czasów odrodzenia. Charakteru jednak starożytnego mimusa nie tracąc, usuwają z niego sprośności, a jedynie biologiczną stronę życia podkreślają. Osoby grające, przedstawiają się same na scenie, wykonują ruchy gwałtowne, biją się, targają za włosy, zasadzają efekt komiczny na gestach pospolicznych i żargonie ulicznym, używają kalemburów, przekraczają wyrazy, gromadzą nieprawdopodobne i drastyczne sytuacje. Efekty sceniczne bardzo są podobne do tych, którymi operują błazni w cyrkach lub scenach warieté, do częstych należą wyrwanie zębów, spijanie gorzkich lekarstw, gorące okłady, humorystyczne pogrzeby, gimnastyczne skoki. Wielką rolę odgrywa charakterystyka komiczna i kostjum. W intermedjum „Bajki kozackie“ z kostymem i żołnierzem, kozak ukazuje się w kozuchu, za pasem ma różek, a w rękę buławę ze słomy. Dudka ma dudę pod pachą, wielkie włosy i brodę strzyżoną. Żyd ubrany po żydowsku z berlidkiem na głowie i kijem w rękę, miał: „korobku nosit za plecyma z kramom“ i lulke, cybuk, puszkę z tabakiem i korynia na nitce. Kram zaś jego zawierał jeszcze onuczka czarną, drugą zieloną, kilka skórek futrzanych i kilka szmatek.

Ponieważ postacie komiczne o charakterze ludowym podobne są do siebie na całym świecie, a tylko zmieniają swe lokalne barwy, więc też i nasze z intermedjów postacie podobne są do niemieckich karnawałowych, do przedstawianych w farsach angielskich i włoskiej commedia dell'arte. Mamy więc lekarza — szarlatana wędrownego i chłopca, to znów rycerza — fanfaroną, który pojawia się po raz pierwszy w satyrze ludowej z XVI wieku p. t.: „Wyprawa Albertusa na wojnę“, a którego ostateczną i najbardziej artystyczną redakcją widzimy w Papkinie fredrowskim. To znów przewija się przez scenę postać złośliwego służącego, lub na tle antagonizmów narodowych powstały typ komiczny sąsiada cudzoziemca w niekorzystnym świetle przedstawiony.

Innym rodzajem intermedjów są anegdotyczne. Jednym z nich najwięcej znanym i głośnie, była sztuczka o włóczędźce skoczył się, sprzedającym kij swój w lesie żydowi na obronę przed złodziejami, a kij ów zachwala w następujący sposób:

„...takiego nie masz. bo ten aże z raju,
szczo chleba nie mająt ani w mieszk hroszów
Lisicko proś, to on da oraz dziesiąt trzosów,
Do tego mająt jeszcze insze większe cnoty,
Kto nie chocezt robiły, każe do roboty.
Dodaje sił, zdrowia, krypkosty kozakom
Żenkom wiery a rozumu w szkole dyakom“.

Niezmiernie ciekawe są intermedja frantowsko-błazeńskie z rękopisu konopczanńskiego, należącego ongi do kompanji aktorów poznańskich, a dające obrazki bujnego życia w Warszawie za czasów Zygmunta III. Przytaczam, za Windakiewiczem, jedno z bardziej wesołych intermedjów, przedstawiające pogrzeb i zmartwychwstanie na scenie. Tytuł jego: „Bigos upity odszedł od siebie“.

Ulicznik, czy błazen jakiś, Bigos, wychodzi zupełnie nieprzytomny z „piwnicy na wronieckiej ulicy“ i nie może sobie zdać sprawy, co mu się stało:

„Otóż masz, niegorzej ci mnie przecie częstowali
Bodaż djabli na takiej uczcie przebywali.
Dobre zdrowie waszmość, waszmości dobre zdrowie,
W brzuch piwa, a rozumu co dalej mniej w głowie,
Podpiwszy zgubiłem się i szukać się muszę,
Zgola nie wiem gdzie podział i ciało i dusze...“

Spotyka go drugi błazen uliczny Kapinos, który żegna się na jego widok i chce przed nim uciekać jak przed marą. Toż samo czynią inni ulicznicy, Dwidzi i Gwizdarski, że on wreszcie uwierzył w swoją śmierć i zgodził się, żeby go pochowali. Ulicznicy wśród lamentów rozebrali Bigosa do koszuli i uciekli pod pozorem, że go czuć rzodkwią. Wtedy do Bigosa, dzwoniącego zębami, przychodzi śmierć i chce go ściąć swą kosą, ale Bigos wykręca się iście logiką błazeńską, twierdząc, że go już towarzysze pochowali nie może więc powtórnie skonać. Śmierć daje się przekonać i odchodzi, Bigos zaś otrzeźwiałszy, zdybuje Dwidzia, obdziera go z ubrania i uciekając woła:

Tuś mił sztuka za sztukę tak jeden drugiego
Na świecie łupi, wszyscy nie mają nic swego.

Osobnym rodzajem intermedjów były monolog, zaś intermedjom podniesionym do samodzielnej sztuki teatralnej, najbardziej popularne i ulubione w Polsce było: „z Chłopa król“ Piotra Baryki.

F. Siedlecki.